# DOM POLSKI

PISMO BELETRYSTYCZNE I NAUKOWE

Wychodzi w Poznaniu 1, 10 i 20 każdego miesiąca.

Rok II. — Poznań, 1 listopada 1889 r. — Nr. 31.

Prenumerata roczna wynosi 8 m., półroczna 4 m., ćwierćroczna 2 m. tak dla miejscowych, jak zamiejscowych przedpłacicieli krajowych; dla Galicyi 5 zlr. rocznie, 1 zlr 25 cent. ćwierćrocznie z przesłaniem exemplarza na miejsce. — Miejscowi przedpłaciciele, odbierający „Dom polski“ w redakcyi, płacą tylko 1,50 mrk. — Zapisywać można na wszystkich pocztach krajowych, a w Poznaniu w redakcyi, ulica Wiedeńska, nr. 5, II. piętro. — Przedpłatę ćwierćroczną przyjmuje każda poczta; półroczną, lub roczną tylko redakcya. — Inseraty przyjmują się za opłatą 20 fen. od wiersza jednolamowego. — Pojedynczy numer „Domu pol.“ kosztuje 40 f.

Drukowanych rękopisów nie zwraca redakcya.

## ROŻEŃKA.

### Obrazek z przeszłości

przez **W.**

(Dokończenie).

Wtem jeden z lipków, wiszących zawsze przy armii, zbliżył się do doktora Szymowicza z pokorną miną. Przepraszam waszę miłość — rzekł dobrą polszczyzną — jest tu ktoś chory, prosiłbym z sobą.

— Cóż to, wynajął wam się za eskulapa? grzmotnął Affendyk — że napastujecie go w czystem polu?

— Poczekałbyś do popasu — dorzucił Bernatowicz.

— Wolno jedziem, tłomaczył Tatar, zamieniony w baranka — chory żąda pomocy.

— Pluń wasze, mości doktorze, na „przedawczyka“ — ale Szymonowicz kierował się już pomiędzy wozy. —

Wistocie *tempo*, przyjęte w pochodzie Kapłana baszy, który widocznie liczył na zbieranie łupow po drodze, doskonale nadawało się do konsultacyi — albowiem żółwiem ciągnięto, skoro, odstąpiwszy Lwowa 6-go października, 15-go dopiero Buczacz ujrzano przed sobą. Słońce jasno świeciło, przypiekało nawet na rozległych równinach. Stada ptaków przelatywały nad taborem, krakając żałośnie, jakby skarżyły się na zabrane im pożywienie, popalone stogi i stodoły, stratowane ścierniska i tej trochę roślinności — grube liście łopianu i podbiału — w jakich dawniej miały wodę do picia. Po niebie przesuwały się drobne, wełniste chmurki, zapowiedź długiej pogody.

Studnicki, w milczeniu przetrawiający wrażenia swoje, obejrzał się mimowoli za Szymonowiczem i osłupiał — prowadził on bowiem żywą z lipkiem rozmowę przy wozie, na którym, drobną rączką oczy przysłaniając od słońca, siedziała Rożeńka. — Otaczał ją stos łachmanów — niemniej z rozpuszczonym włosem złotawym, w jakimś szalu zdobytym wyglądała by w złotogłowiu królowa! — Promienie słoneczne prześlizgały się i wsuwały tu i owdzie — odpowiednio do ruchu kół po nierównej drożynie, tworząc misterne arabeski i śliczne mozajki na tej uroczej postaci.

Doktor zrównał się z towarzyszami.

— Cóż to za cudna dzieweczka — zawołał — w jassyrze!

— O świtaniu stała przy nas — rzekł Studnicki.

Jedynaczka zamożnego szlachcica z Dobrej-woli! Biedne dziecią̨tko, nieświadome losu swego — płacze za matką, którą do bejowskiego haremu najbliższą drogą ku Kamieńcowi z innemi wyprawiono.

— A ona przez co została?

— Chorą jest Tatar, który ją porwał, niełatwo się jej zbędzie.

— Możeby ją wykupić! wykrzyknął Studnicki z zapałem.

— Za co? — rzekł Laurysiewicz. — Czyż to one zwanieckie niebożątka nie wzywały naszego zmiłowania?... a myśmy stali, jak kamień.

— Na który rosa pada.

— Wszystko, co było przy duszy, na haracz poszło — 5,000 nie bajka — dziś chudziątkaśmy mizerni.

Nad wieczorem, gdy przy mdłym ogniu, rozniecanym z mierzwy, znalezionej po drodze, zagotowano trochę mąki i posilono się, by specyałami Lucullusa — Szymonowicz, który zauważał zajęcie się Studnickiego chorą branką, przyrzekł wziąć go nazajutrz ze sobą.

Rozpoczęła się więc epoka — efemeryczna wprawdzie — lecz pełna barw i woni dla rozmarzonego młodzieńca. Jechano stepem bezbrzeżnym, gęsto udekorowanym zgliszczami, przy których tylko żóraw w studni piszczał przeraźliwie, chwiejąc się w tę i w owę stronę; i może kot jaki — jeśli go psy nie rozszarpały — pilnował wygasłego ogniska; jemu się wszakże zdawało, że przebywają zielone stoki Eldorado, że słońca takiego nigdy nie widział na kościele katedralnym w mieście rodzinnem, że najpiękniejsze tyftyki, aksamity i altembasy elegantek lwowskich nie

lśniły takim przepychem, jak ów łachman, którym okrywała się Rożeńka.

Zapoznał się z starą Horpyną, dodaną jej do usługi i z psem Kruczkiem, faworytem, który przybiegł za nią z Tatarami i szedł przy wozie. Wierne, poczciwe zwierzę nocą układało się u nóg swej pani, ogrzewając ją swem ciepłem — w dzień na krok jej nie odstępowało.

Szymonowicz zdołał wmówić w zdobywcę, że, jeżeli brance udzieli zupełnej swobody, zatrze w jej umyśle przykre wspomnienia, wyzdrowieć może — a Tatar, jako był znawca niepospolity piękności kobiecej i jej rozwoju, płynął już w myśli do samego sułtana z „perłą najcudniejszą“ — prosił więc doktora o pomoc i pozwalał na wszystko.

Nic zresztą nie tracił.

Zakładnicy słowem zobowiązali się nie próbować ucieczki.

Nadto wozy szły w środku taboru pod dobrą strażą — a że młody „giaur“ słodkie oczy robi do dziewczyny, co nie uszło jego baczności — cóż mu to szkodzi? — Byle nie umarła, prędzej on się z nią uprzątnie, nim za niego 75,000 talarów zapłacą.

Lwowianie myśleli o tem inaczej.

— W Buczaczu zastaniemy komisarzy koronnych — rzekł zaraz pierwszego dnia Szymonowicz — kilkanaście złotych za nas założą — a Tatar chętnie zbędzie ciężaru.

— Bóg by z Waćpana przemawiał — zawołał Studnicki.

— Rzecz ubita, lipek - przechera sprawą pokieruje, dam mu pas kitajkowy.

— Ja mam bogatą krewną w Buczaczu — wtrącił Laurysiewicz — skąpa srodze jest dla rodziny, aleć tkliwa bez miary dla aspirantów do Hymenu — użali się naszej gwiazdeczce

Coś z tych projektów podszepnięto Rożeńce — dodając pomysł, niebędący w programie, bo absolutnie niewykonalny, że matkę jej także wykupią.

— Ej! Rożeńko, Rożeńko! — mówił Studnicki, wsparty na wozie — lilijkąby ciebie zwać wypadało — takaś blada i cicha.

— Zwij Waćpan, jak ci wola — odparła uśmiechnięta pod wpływem usłyszanej poprzednio nowiny.

— Poruczymy cię w opiekę ciotce Imci pana Laurysiewicza.

— Dalekoż Buczacz jeszcze?

— Nie bardzo.

— Szkoda! dobrze mi z wami — aleć tam ujrzę matuleńkę swoję! swoję rodzoną — dobrą!

— O! tak — upewniał, zaczerwieniwszy się po uszy.

A niewinne dziewczątko święcie wszystkiemu wierzyło — niemniej drobna twarzyczka z każdą chwilą szczuplejsze przybierała rozmiary, oczy powiększały się i coraz więcej przeobrażała się w owo cudowne zjawisko, za jakie wziął ją w pierwszej chwili Studnicki.

Stanęli nad Złotą lipą. —

Kapłan basza, ujrzawszy wody jej, połyskujące, niby wstęga srebrzysta, drogiemi kamieniami utkana, zapragnął wykąpać się i konie napoić do syta — upału wprawdzie nie było, ale proch dławił. —

Po kąpieli przeprawiono się na drugą stronę i tu dopiero rozłożono taborem.

Śliczne materye wschodnie, choć nie takie, jak te, co później pod Wiedniem zdobiły wezyra namioty, jaskrawo mieniły się w słońca odblasku. — Wstęgi na nich leciuchno szeleściły, a półksiężyc dumnie wznosił się ku błękitnym obłokom, jakby w urąganiu mającemu się tamże ukazać słonecznemu satelicie.

Cieniutkie nitki „babiego lata“ fruwały w powietrzu, potrącone wirem, sprawianym przez dzikie hordy, a kawki, ułożone na bezlistnych drzewach do spoczynku, zerwały się z szumem i wrzaskiem — siedlisko ich bowiem zcięto do uwarzenia wieczerzy. — Nędzne to były i karłowate wierzbięta, ale i im nie darowano. Kilka gałązek jedynie ocalili żydzi, i zatknąwszy je w ziemię, uzielenione sztucznemi kitami z trzciny moczarnej, wyobrażali sobie w fanatyzmie religijnym, iż na uroczystość „kuczek,“ która właśnie przypadała, mają palmę pustyni i w jej cieniu przyjęli skromny posiłek, wywodząc cichym głosem psalmy żałosne.

Szymonowicz z Studnickim rozmawiali po cichu, odłożywszy najlepszą cząstkę wieczerzy — owoców trochę — dla swej protegowanej, wtem stara Horpyna przybliżyła się do nich.

— A co tam? zapytali.

— Chodit — chodit, panoczku — duże sia żuryt — odparła, łzy ocierając.

— Czy słaba?

— Bih znaje — zwizdoczka moja jaśneńka — śłezami myje łyczko.

Gdy stanęli przy wozie, Horpyna już nóciła jednę z tych „kołysanek,“ jakiemi dzieci do snu usypiają, a Kruczek, ułożywszy się u nóg swej pani, wtórował jej niewyraźnem skomleniem.

Śpiewała ona półgłosem:

Hołubońko ty moja, hołubońko krasnoja,
Ne wzdrisz ty swoho haju
W soroczajku tia zwynut. W czystem polu pokinut
Pry zołotoim ruczaju!

Łzy spływały jej po pomarszczonem licu, a usta wykrzywiały się boleśnie Acz nie dawno poznała się z uroczem dziewczęciem, przywiązała się doń sercem całem, rozdartem rozłąką ze swymi, i łkała rozpacznie nad jej losem i swoją niedolą.

Prylytiły sokoły — czerez hory i doły
By mohyłu skrilciamy zamesty
W dziobi cwitok krasneńki — barwineć zeleneńki
Nesły by w wołosojki wpłesty.

Rożeńka, na której oblicze księżyc, płynący majestatycznie po niebiosach, rzucał migotliwe blaski, podniosła się nieco.

— Jakżeście łaskawi na niebogę, szlachetny panie, szepnęła, ujmując dłoń doktora, do niej wyciągniętą.

Cóż brakuje Rożeńce? —

— O! w nocy, kiedy psy wyją bez ustanku — puszczyki kędyś gwiżdżą — Tatarowie swarzą się — tęschnota ledwo mnie nie zabije.

— Dziś trochę ciszej — mówił Szymonowicz — szkapy pognano między sitowia — obóz rozsunięto.

— A przecież więcej, niż zawsze boleść mi duszę przygniata, za serce ściska, jak kleszcze.

— W Bogu ufanie — przeminie to i rozstaje, by śnieg marcowy.

— R o z ż e ń smutek na wiatry, Rożeńko, szeptał Studnicki, poznasz ty jeszcze szczęście — odżyjesz.

Ona potrząsła przecząco główką, powstała — wyciągnęła ręce do mgieł gazowych, kręgami z rzeki występujących, jakoby do szczęścia onego i zachwiała się.

Studnicki pochwycił ją w ramiona. —

— Rożeńko ukochana, kwiatku mój śliczny! wołał, okrywając ją namiętnemi pocałunkami. Obudź się — popatrz na mnie oczętami swemi.

Uśmiechnęła się leciuchno i całym ciężarem zawisła mu na piersiach, nim doktor zdołał wydobyć krople jakieś. — Duch jej wyswobodził się z więzów — uleciał w krainę światłości i prawdy wiekuistej! — a fale rzeki szumiały, niby dzwon pogrzebowy i niby akompaniament do wycia Kruczka wiernego.

Przesunęła się przez życie, jak meteor. Znikła bez śladu, lecz któż wie, czy śmierć cichej dzieweczki w połączeniu z boleścią, jaką sprawiła szlachetnym zakładnikom — nie przepełniła miary cierpień, zapisanych w niebieskim regestrze? — Czy nie przechyliła szali, ważącej losy państwa potężnego?... Nic bowiem nie ginie marnie.

KONIEC.

# NA GROBY!

Ponurym głosem jękły dzwonów spiże,
Tysiące świateł oblało już groby,
Lud zadumany, posępny — żałoby
Wzrokiem ogarnia zimne mogił krzyże.
Głośne westchnienia, żywe serca bicie
I myśl skrzydlata stąd biegnie w zaświaty....
Tu w proch rozwiane czynne niegdyś życie,
Wspomnień mglistemi otoczone szaty;
I gdy do czynu rwie się człowiek siły,
Nowemi szlaki znacząc swe pochody,
Tu ojce jego bezsilni z mogiły
Minionych wierzeń nie bronią swobody.
Wyniosłe syny, gardzące tem „wczoraj“,
Myślą: przodkowie zginęli już w pleśni,
Nie staną rankiem — polegli z wieczora —
Odżyją tylko w synów swoich pieśni.
Mylne mniemanie! — W te cmentarne progi
Pójdź ze mną, role swojem „dzisiaj“ dumny,
Własnych porywów dawne ujrzysz drogi,
Bo duch się ludzki nie kładzie do trumny.
W tej czaszce, która nagością cię trwoży,
Myśli się niegdyś wzniosłe porodziły,
I tam pobiegły, gdzie wśród świateł zorzy
Praojce wolność synów swoich śniły.
Serce, co w marny proch się rozsypało,
Biło gorącą miłością ojczyzny,
A gdy mu wolnej ziemi już nie stało,
W grób się schowało z krwawiącemi blizny.
Dłoń, którą zimna darń dzisiaj ukrywa,
Na obowiązku prowadziła drogi
Słabnące syny — i w nagrodę żniwa
Nie powiązała snopów w plon ubogi,
Lecz żądnych j u t r a  l e p s z e g o żniwiarzy
Na stopniach pracy stawiła ołtarzy.
Przez sioła nasze i zamglone łany
Praojców-duchów tchnienia wokół wieją,
I synów swoich zmieniając w Tytany,
Zbroją ich piersi wiarą i nadzieją.
Na groby dzisiaj! na mogiły czarne,
Co ducha spadek zostawiły wzniosły,
Daniny serca składajmy ofiarne,
Prośmy o promień dla jutra radosny:
A ojców naszych czcząc spruchniałe kości,
Pracujmy dzisiaj dla l e p s z e j  p r z y s z ł o ś c i.

*Helena Neyman.*

# DOM
## w świetle hygieny i fizyologii.*)

napisał **A. L.**

### PRZEDMOWA.

Duch czasu się zmienia, idąc naprzód przez opatrzność wytkniętemi tory, a jeżeli prawo mocniejszego wzięło górę i, przyjęte dzisiaj za zasadę życia publicznego, przeczy zasadzie bliźniego miłości i przewodniczy w rozwoju dziejowego ruchu, to tylko na to, aby prawdy chrześciańskie wprowadzić w życie i na wieki utrwalić.

Naród nasz, wyjęty dzisiaj z pod prawa krajowego, poddany prawu wyjątkowemu, rozmyślnie demoralizowany i gnębiony, w trudnem i rozpaczliwem żyje położeniu: odbierają mu ojczysty język, fałszują jego historyą, narzucają obce zwyczaje i obyczaje i wypierają go różnemi politycznemi, społecznemi i finansowemi, prawnie ustanowionemi operacyami z ziemi odwiecznie rodzinnej. W skutek tych napaści brutalnego postępowania zrujnowane i upadające stosunki nasze majątkowe z niezwykłą gwałtownością coraz to na trudniejsze spychają nas stanowisko, a strome pochyłości dróg, na których dzisiaj kroczymy, niezadługo do przepaści nas zawiodą i jeżeli zawczasu silnym rzutem na inne tory się nie zwrócimy, to z pewnością nad tą przepaścią zatrzymać się nie będziem już w możności, i niebezpieczeństwa zupełnego narodowego i majątkowego upadku nie odwrócimy. Wyjątkowe prawa przeciw nam wymyślone i ustanowione wyzywają nas do walki o byt narodowościowy, którą też podjąć i wszystkiemi siłami bez wytchnienia prowadzić nam wypada, dopóki na obronnem, postęp nam zapewniającem nie staniemy stanowisku. Wszyscy bez wyjątku: mężczyzni, niewiasty i dzieci nawet, zbrojni uczuciem miłości ojczyzny, zdobywajmy i zajmujmy to obronne stanowisko na wyłomie już upadającej twierdzy narodowej, a gwiazdą przewodnią w drodze walki niech nam będzie w i a r a  w  s p r a w i e d l i w o ś ć  B o s k ą, n a d z i e j a  w  z w y c i ę z t w o  d o b r e g o  i  g o r ą c e  u c z u c i e  c h r z e ś c i a ń s k i e j  b l i ź n i e g o  m i ł o ś c i. Nie utraciliśmy dotąd tych cnót, przez Boga w serca nasze wlanych, więc chociaż opuszczeni, znienawidzeni, wyjęci z pod prawa — sił ratunkowych w Bogu i w sobie szukać będziemy i . . . zwyciężymy, gdyż nie znajdujemy się jeszcze, n a  w ł a s n e j  ż y j ą c  z i e m i, w tak rozpaczliwem położeniu, w jakiem była owa Maryś Sienkiewicza, za chlebem do Ameryki płynąca.

W domu własnym tak się postawmy na tem obronnem stanowisku, aby każda zagroda polska była — Trębowlą, każda niewiasta polska — Chrzanowską; a jeżeli w tej nowożytnej dzisiajszej walce narodowościowej, na zasadzie prawa mocniejszego, jak polipy ośmioramienne tamując nam oddech, wrogowie nasi życia narodowego pozbawiać nas zaczną, to Wy, zacne niewiasty polskie, pomne na przemówienie do Was wieszcza Adama, krzewcie i pielęgnujcie w nowszych generacyach, a nawet już w łonie swojem zaszczepiajcie uczucia patryotyczne w potomstwie, ku wiecznej obronie świętej miłości kochanej ojczyzny; zdobycze zaś niezmordowanej Waszej pracy, zabiegliwości i oszczędności w gospodarstwie domowem, do których rozprawa niniejsza daje Wam wskazówki, niechaj będą tą małą grudką, która w postępie swoim zbierze się w wielką lawinę przyszłego naszego dobrobytu i szczęścia.

---

*) Pomiędzy Szan. Czytelnikami „Domu polskiego“ znajdują się tacy, którzy pamiętają jeszcze wychodzący pod naszą redakcyą „Dwutygodnik dla kobiet,“ zamieniony następnie na „Tygodnik beletrystyczny i naukowy“ — a pamiętają dla tego, bo nam od początku istnienia wymienionych czasopism do tej chwili wierną przechowali życzliwość. Tym to Szan. Czytelnikom naszym przypominamy, żeśmy w drugim roczniku „Tygodnika bel. i nauk.“ zaczęli drukować obszerniejszych rozmiarow artykuł p. n. „Dom w świetle hygieny i fizyologii.“ Ale, niestety! poprzednik „Domu polskiego“, „Tygodnik“, z niezależnych od redakcyi powodów — któreśmy w swoim czasie podali i wytłomaczyli — n a g l e  w ś r ó d  r o k u zaprzestał wychodzić, a między innemi i w mowie będący artykuł nie został dokończony i dotąd, jako rękopis, spoczywa w tece naszej. Ponieważ artykuł ten praktyczny w treści i pouczający budził swego czasu ogólne zajęcie, postanowiliśmy, powtórzywszy drukowany już w „Tygodniku“ jego początek, podać go w całości Czytelnikom „Domu polskiego“, a tem samem uczcić pamięć niedawno, bo d. 26 września b. r. zmarłego jego Autora św. p. A u g u s t a  L u b o m ę s k i e g o, znanego zaszczytnie z wielu prac umysłowych, drukowanych przeważnie w „Ziemianinie“, który też podał obszerny jego życiorys, a w nim zaznaczył i ocenił prace i zasługi byłego dyrektora rolniczej szkoły żabikowskiej i swego długoletniego współpracownika. (Przypisek redakcyi).

WSTĘP.

Bóg w mądrości swej wiedział, co dla czego stworzył; każda istota, choćby najmniej pozorna, ma swe przeznaczenie, a cóż dopiero człowiek, to najdoskonalsze dzieło Boże, bądź to uważany li jako taki, bądź w swej dwoistośi płciowej: jako mężczyzna i kobieta.

Gdyby mężczyzna sam żył na świecie, czyżby mógł, nie chcąc doznać dotkliwych przeszkód w swem zajęciu, urządzić sobie dom swój odpowiednio do swych koniecznych potrzeb, czyżby miał czas i chęć przysposabiać sobie zdrowe i posilne pokarmy, schludną, wygodną i stosowną odzież i czyżby potrafił usłać sobie w samotnem mieszkaniu miłe i przyjemne gniazdo, do któregoby tęschnota go ciągła, jako gołębia do swej gołąbki? — czyż nie wolałby raczej nawet po skończonych dnia znojach tułać się poza domem między ludźmi, a do niego wracać dopiero mocą nieodzownego wypoczynku, by położyć znużone członki choćby na twardym, nieusłanym tapczanie? Oj! zapewne nie spieszyłby tak, jak spieszy natomiast, gdy wie, że go czeka kochająca go istota w mile usłanem gniazdeczku. A jak cicha gołąbka oczekuje tęschnie swego towarzysza, tuląc pisklę pod skrzydłem, tak i kobieta-żona z dziecią-tkiem na ręku wygląda upragnionego powrotu mężczyzny-.męża

Przyjęty serdecznym uściskiem tkliwej żony, przytuliwszy do siebie dziecię, wyciągające ku niemu rączęta, a następnie nakarmiony należycie, czyż nie widzi raju w tej niedawno jeszcze wstrętnej dla siebie siedzibie, co go teraz o tyle nęci i wiąże powabem, o ile go dawniej odstręczała? I naraz świat i życie inaczej mu się przedstawiają! — o ile dawniej żył li siłą zachowawczego instynktu, bez wyraźnie wytkniętego celu, o tyle ma i widzi go teraz jasno przed sobą, a t y m c e l e m j e g o d ą ż e ń j e s t r o d z i n a, jest podtrzymywanie usilne tego domu, który był dawniej dla niego obojętnym. Aby zaś cel osiągnąć, potrzeba natężania sił, które, by się nie zużyły, wymagają zdrowego i posilnego pokarmu, a tego tylko troskliwa, rzecz i własny interes rozumiejąca żona dostarczyć mu zdoła.

Tak dla tego, co pracuje fizycznie, jako i dla pracującego umysłowo zdrowy i posilny pokarm jest warunkiem pierwszym i koniecznym życia i słusznie też dawni Rzymianie mówili: *in corpore sano mens sana,* a słynny i genialny fizyolog francuzki, Brillat-Savarin, nie zawahał się wyrzec w swem dziele „O fizyologii i smaku“: *La destinée des nations dépend de la manière dont elles se nourrissent.*

Wszakże nie dosyć na pokarmie i zdrowiu ciała — i w duszy winna także panować swoboda i spokój, jeżeli praca mężczyzny-męża ma być całkowitą i pożyteczną i nie iść oporem, a myśl kierować się wprost do celu, zamiast, rozstrojona domową niezgodą, błąkać się gdzieś po bezdrożach. O te wszelkie wygody i przyjemności życia powinna starać się żona wśród domowego zarządu dla męża, j e j ś w i a t e m w i n n a b y ć d o l a m ę ż a, a t e g o ż p r a g n i e n i e m s z c z ę ś c i e ż o n y — owoce zaś takiej zgodnej, coraz usilniejszej i coraz obfitszej w rezultat pracy przypadną poniekąd całemu społeczeństwu w udziale, bo, jakie matka na zdrowym pokarmie i przy moralnem pielęgnowaniu wychowa dzieci, takich kraj będzie miał obywateli. Pragnąc dla wszystkich stadeł małżeńskich tego szczęścia, tego dźwięku i wdzięku nieustającej harmonii i rozkoszy domowej, postanowiłem w uznaniu ważności zadania, jakie nasze gosposie mają, jako matki i żony, napisać niniejsze dziełko, by panie i gospodynie nasze zapoznać z kardynalnemi potrzebami domu na zasadzie hygieny i fizyologii. I jeżeli choć kilka z Was, zacne Panie, skorzystawszy z treści, powie autorowi: „Bóg zapłać“ — to już będzie on czuł się wynagrodzonym za podjęte trudy.

Aby nie pozostać poza stanowiskiem dzisiajszej nauki i doświadczeń, oparłem pracę swoję na naukowych powagach.

Oprócz z różnych polskich, niemieckich i francuzkich czasopism, czerpałem mianowicie z takich dzieł, jak:

B r i l l a t - S a v a r i n a i K a r o l a V o i g t a: „O fizyologii smaku.“

D r. I. K o e n i g' a: „O składzie ludzkich pokarmów.“

D r. H a b e r k o r n' a: „O wartości odżywczej naszych potraw.“

Materyał w tych obszernych dziełach jest obfity, powiedziałbym — nadto obfity — cała sztuka polega więc głównie na zebraniu go w jednę organiczną całość i przedstawieniu w łatwym do zrozumienia, przejrzystym, a żywo naszkicowanym obrazie na tle potrzeb i stosunków naszych. Czy się rzecz udała, proszę czytać łaskawie z uwagą, a potem — osądzić.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

# KORESPONDENCYA „DOMU POLSKIEGO.“

### Zpoza kordonu.

„Dom polski“ przebył kordony i doszedł szczęśliwie do rąk moich; przejrzawszy numera z trzech ćwierćroczy, mam ochotę cośkolwiek o nim samym pomówić. Pomnąc na przysłowie łacińskie: *propria laus sordet* — chwalić go nie będę, nie mogę jednak się wstrzymać od kilku słów uznania i zachęty do dalszej pracy dla autorów artykułów takich, jak: „Korespondencya ze Środy,“ „O Gieczu“, „Zapiski z Galicyi“

„Dom polski“ jest pismem prowincyonalnem, a zatem powinien być przeważnie poświęcony sprawom miejscowym, opisom miejscowym i t. p.

Ktoś, urodziwszy się i wychowawszy w jakim zakątku, poznał i oswoił się z każdą piędzią ziemi, z każdym wzgórkiem i drzewem — mniema przeto, że miejscowość owa nie posiada nic ciekawego dla ogółu, tak przecież nie jest; dla nieznających miejscowości wyda się ona zawsze nową, a i ci którzy dobrze ją znają, czytają z przyjemnością jej opis.

Ludność wiejska lubi przechowywać odrębności sobie właściwe w zwyczajach, w ubraniu, w robotach; i właśnie owe różnice są bardzo zajmujące dla etnografów i historyków, są bowiem jakoby urywkiem skamieniałym przeszłości. Nic nie szkodzi, że rzecz już była przez kogoś opisana, bo owo powtarzanie faktów pomnaża ich wiarogodność.

Przed kilku laty profesor Rostafiński z Krakowa zrobił przez dzienniki do czytającej publiczności odezwę, w której prosił o nadsełanie mu nazw ludowych, nadawanych różnym jarzynom i warzywom w rożnych okolicach kraju, za pomocą których mógłby wywnioskować, jakiemi drogami rośliny te napływały do naszej ojczyzny.

N. p. nazwa ludowa bobu: „bon“ poucza, że jarzyna ta przyszła do nas z Niemiec, a używana przez Mazurów „bober“ daje wskazówkę o przyjściu jej dotąd ze wschodu

Braknie nam jeszcze wyczerpującego dzieła o etnografii naszego kraju. Akademia nauk zbiera materyały odpowiednie w celu wypełnienia tegoż braku. Otóż drobne na pozór wskazówki z różnych okolic naszych ziem mogą mieć dla niej cenną wartość.

Współpracownicy „Domu polskiego“ mają więc sposobność przysłużyć się ogółowi spostrzeżeniami swemi.

Niewiele jest miejscowości, któreby nie posiadały swoich własnych podań, legend — potrzeba tylko natężyć słuch, aby pochwycić owe szepty z przeszłości.

Miniony miesiąc nie przyniósł nic ciekawego, tylko gospodarze-rolnicy przekonali się, że mają dosyć kartofli, lecz zdradzających chętkę do gnicia; wszyscy więc chcieliby je sprzedać co prędzej — i tym sposobem obniżyli bardzo cenę tego produktu.

Również obniżenie cen sprowadziło chęć pozbywania się inwentarza przed zimą z powodu braku paszy; niektórzy sprzedają owce-maciorki na rzeź; cokolwiek da się spieniężyć, bywa pozbywane.

Jakie skutki przyniesie dla rolnictwa tegoroczna susza, łatwo odgadnąć, a wszelkie nadzieje ulg spełzły na niczem, tylko lichwa rozrasta się i staje się panem położenia.

„Grażdanin“ (odgłos carskich przekonań) drwi sobie z odwiedzin Najjaśniejszego Pana w Berlinie; drwi, jak zazwyczaj z przyjaźni prusko-rosyjskiej, wymienia dobrodziejstwa ze strony Rosyi, wyświadczone sprzymierzeńcowi, i wytyka jego niewdzięczność. Drwi z uprzejmości ks. Bismarka, który na czas przybycia gościa potężnego odwołał ks. Koburga, jak psa do budy, i dodaje zaraz: „A cóż nam przeszkadza książę Ferdynand w Bułgaryi? jeżeli Bułgarowie z nim się zżyli — to i dobrze.“

Prasa moskiewska cieszy się, że na czas zjazdu waluta rosyjska spadła, bo objaw ten bierze za znak wydobycia się finansów rosyjskich z pod opieki p. Bleichrödera.

Niedawno szydzono ze swatów ks. Bismarka, tyczących się następcy tronu rosyjskiego i jednej z księżniczek Hohenzolern.

Słowem — nie ma ani odrobiny uprzejmości dla Prus w gazetach rosyjskich w chwili uroczystych odwiedzin monarszych; a nawet na upatrzoną przez niemiecką prasę odmianę jakąś w nastroju zwyczajnym „Grażdanin“ odpowiada, że jest to tylko przywidzenie, bo on zawsze był tylko rządowym i niczem więcej poza tem.

Warszawa zgromadza pod swe skrzydła rozpierzchłe swe pisklęta i przysposabia się do ruchu zwyczajnego na wszystkich polach.

Muzeum przemysłu przysposabia wystawę sztuki stosowanej do przemysłu, — podobnej do tej, jaka odbyła się przed kilkunastu laty. Dla starszego pokolenia będzie tam zapewne mało nowych rzeczy do widzenia, ale dla młodych może być ona ciekawą i pouczającą.

Na niwie literackiej zasługuje na kilka uwag mały obrazek p. Rawity, drukowany w „Echu muzycznem“ p. n: „Salutystka“.

Alfons Daudet w powieści: „Ewangelistka“, pragnął wykazać wpływ szkodliwy, jaki wywiera sekta religijna, zwiąca się „armią zbawienia“.

Czytelnicy doznawali dziwnego wrażenia niesmaku po odczytaniu tego utworu — byli w niezgodzie z autorem; nie mogli bowiem sympatyzować z postaciami, dla których on chciał wzbudzić uczucie sympatyi, a z drugiej strony nie mogli znowu znienawidzieć tych, od których zamierzył ich odstręczyć.

Pan Rawita podjął ten sam przedmiot w małym obrazku: „Salutystka“, a że tendencya jest tu mniej wyraźną, czytelnik pozostaje w większej zgodzie z autorem. Obrazek ten obudził we mnie takie myśli:

Każdy objaw społeczny, przejawiający się prawie od początków bytu ludzkości, musi mieć swoje głębokie i ciekawe dla psychologa przyczyny. Pogaństwo miało swe westalki, wajdelotki, druidki; chrześciaństwo zapełniało klasztory dziewicami, poświęconemi Bogu.

Znajdowały się zawsze i znajdują się dziś jeszcze pomimo zmateryalizowania wieku istoty, którym szczęście ziemskie nie wystarcza, które tęsknią za nieskończonością — i tylko owa nieskończoność zdoła nasycić głody ich duszy.

Katolicyzm umiał spożytkować o w ę właściwość psychologiczną jednostek i wytworzył siostry miłosierdzia, lub inne zakony, ku pożytkowi ludzkości poświęcone; protestantyzm pominął, a raczej zanegował ją, więc marnuje się ona w rękach salutystów, lub innych sekciarzy.

Pan Rawita może nie miał tego na celu, a jednak doprowadził czytelnika do takiej konkluzyi, trzymając się tylko prawdy.

Gdyby Joanna miała zwyczajne usposobienie przeciętnych dziewcząt, trawiących życie nad maszyną, szukałaby innych wrażeń i rozrywek, odbiegałaby od szycia na schadzki romansowe z pierwszym lepszym Donżuanem, szukałaby towarzystwa rówieśnic i. t. p.

Na Joannie zaś pierwsze słowa opowiadania o salutystach, wyrzeczone z lekceważeniem a nawet z pogardą, uczyniły głębokie wrażenie, zapaliły imaginacyą, rozbudziły drzemiącą na dnie duszy tęsknotę za ideałem. Umarła ona młodo, ale to przypadek, spotykający ludzi wszystkich stanów. Wszyscy salutyści nie umierają młodo, a nasze zakonniczki także żyją długo i dobrze nawet wyglądają.

Salutystów u nas nie ma i być nie może, jako w kraju katolickim, wdzięczni jednak jesteśmy p. Rawicie za to, że, podjąwszy ten przedmiot, pobudził czytelników do głębszego myślenia.

Joanna była szczęśliwą, umierała z radością, bo rwała się w nieskończoność; dla czegoż więc pozbawiać ludzi tego środka uszczęśliwienia?

Czy salutyści — bądź co bądź — nie są więcej warci od samolubów, poświęcających szczęście bliźnich dla własnej wygody, na których codzień z pobłażaniem patrzymy?....

Na zakończenie p. Rawita zowie Joannę męczennicą swych uczuć. Dla czego „męczennicą“? Czy nie powtarzała ona ciągle, że jest szczęśliwą, że innego szczęścia nie pragnie?

Czyżby autor nie rozumiał dobrze swej bohaterki?

Do „armii zbawienia“ wstępują nietylko sami biedacy, zmęczeni życiem; zdarza się, że łączą się z jej szeregami osoby bogate, młode, z pozoru szczęśliwe, nie była więc Joanna ofiarą swego położenia, jak p. Rawita twierdzi.

Nie, ona obdarzoną tylko była właściwością duchową, którą rozmaicie można tłomaczyć, ale której bytu zaprzeczyć nie można.

*A. M.*

# DOM RODZICIELSKI.

Każde stadło małżeńskie powinno się usilnie starać o to, aby swój dom uczynić miłym, przyjemnym, rozkosznym, jednem słowem — szczęśliwym. Dom bowiem rodzicielski jest miejscem, gdzie młode pokolenie się rodzi i wychowuje. Tu dzieci pierwsze otrzymują wrażenia, które się głęboko w serca ich ryją i nieraz przechowują przez całe życie. Tu jest miejsce, gdzie cała rodzina po dziennej pracy zbierać się powinna, by się wspólnie pocieszyć, pouczyć, zabawić, wypocząć i nowych sił nabrać do dalszej pracy.

Powiadają powszechnie, że od kobiety zależy szczęście domowe. I słusznie. „Kobieta jest życiem domu“ — powiedział pewien poeta. Lecz i mężczyzna przyczynia się do szczęścia domowego. Jeżeli mąż jest pijakiem, karciarzem i próżniakiem, przepędzającym znaczną część dnia poza domem, gdzie na osobiste przyjemności traci i marnuje wszystko, co zarobi, a przyszedłszy do domu, wpada w zły

humor, i objawia go, wymyślając na żonę i dzieci — czy wtenczas dom może być swobodnym i miłym, choćby żona była ideałem kobiet i wszystkiemi siłami starała się o spokój i szczęście domowe?

Niestety! takich mężów i ojców rodzin społeczeństwo nasze posiada bardzo wielu, ale znajduje się również niemało pracowitych, zaradnych i zacnych mężczyzn, pragnących gorąco szczęścia swej rodziny i swego otoczenia, gdy przeciwnie żony w skutek nieporządku, manotrawstwa, próżniactwa, plotek, intryg, ciągłego zrzędzenia i niezadowolenia z wszystkiego zatruwają życie swemu otoczeniu i dom rodzinny, któryby mógł ziemskim być rajem — zamieniają w piekło.

Gdzie mąż i żona nie żyją w zgodzie i o wspólne dobro nie starają się w równej mierze, tam dzieci dobrze wychowane być nie mogą, tam dobrobyt nie zakwitnie nigdy i tam dom szczęśliwy nie będzie.

A jak mało jednak potrzeba, aby dom rodzicielski uczynić nietylko znośnym, ale miłym i szczęśliwym!

Uległość, uprzejmość, wyrozumiałość i umiarkowanie wspólne, praca wspólna, przyjaźń, miłość i szacunek wzajemny oto zalety, a zarazem warunki, które niewiele kosztują, bynajmniej nie są trudne, a działają nadzwyczaj dodatnio na wspólne pożycie i czynią dom szczęśliwym.

Największem złem, ktore mąci i zatruwa spokoj i szczęście domowe, jest opłakany a bardzo u nas, mianowicie po miastach, rozpowszechniony zwyczaj szukania rozrywek i zabaw poza domem, w hotelach, winiarniach, lub ogrodach publicznych, w skutek czego życie domowe i rodzinne zupełnie ustaje.

Na podobne przyjemności wydają rodziny nieraz całe swe mienie, cały zarobek, tracąc i niszcząc czas i zdrowie, ogołacając dom z koniecznych środków do utrzymania i tym sposobem wprowadzając doń biedę i nędzę. Że zwyczajem tym, który nie jest narodowy, polski, lecz zapożyczony od Niemców, stanowczo zerwać winniśmy, a powrócić wedle tradycyi śladem przodków naszych do życia domowego i rodzinnego.

Mężczyźni pierwsi powinni tu dać dobry przykład, biorąc raz na zawsze — przepraszamy, iż nazwiemy rzecz po imieniu — rozbrat z knajpą, a kobiety im w tem dopomagać winne. Najlepszym zaś środkiem ku temu będzie, jeśli żony, jako gospodynie domu, więcej o ten dom dbać będą i starać się utrzymać go w wzorowym porządku, jeśli niepotrzebne w strojach zbytki zastąpią rozsądną oszczędnością, jeśli jednem słowem uczynią dom pełnym swobody, miłym i rozkosznym. To najwięcej mężów zobowiąże i do domu niejako przykuje.

*Mazur.*

## Wiadomości literackie i rozmaitości.

**D. 12 p. m.** obchodził warszawski „Tygodnik ilustrowany“ trzydziestą rocznicę swego istnienia, dla której upamiętnienia poświęcił cały 354 numer wspomnieniom trzydziestoletniej swej przeszłości. Na czele numeru znajduje się krótkie wyjaśnienie od redakcyi, zakończone słowami: „Ufamy, że czytelnicy wybaczą to jednotygodniowe cofnięcie się wstecz od chwili bieżącej i zawieszenie dalszych ciągów prac rozpoczętych.“ — Następuje obszerny artykuł Wincentego Korotyńskiego p. n. „Po latach trzydziestu“, w którym autor opowiada, jak po kilkunastu latach mozołu i zabiegów wypuszczono w świat pierwszy numer „Tygodnika ilustr.“ w sobotę, d. 1 października, 1859 r. z drukarni Ungra, znajdującej się już wówczas na Krakowskiem-przedmieściu. Myśl wydawnictwa „Tyg. ilustr.“ wyszła od Sobieszczańskiego, główne kierownictwo objął Ludwik Jenike, a w skład ściślejszego komitetu redakcyjnego wchodzili nadto pp. Kaszewski, Szymanowski, Anczyc, Bartoszewicz, Sobieszczański, Stronczyński, Wojcicki, Piwarski, Beyer i wydawca pisma: Unger, których ilustrowane portrety podaje również jubileuszowy numer. Z wymienionego redakcyjnego komitetu trzech jeszcze pozostało przy życiu: Jenike, Kaszewski i Stronczyński. Dalej Józef Kenig daje kronikę drzeworytów, zdobiących przez trzy dziesiątki lat numera „Tygodnika.“

Dr. Józef Wolff, obecny redaktor „Tyg. ilustr.“, w artykule: „Ludwik Jenike w Tygodniku“ kreśli zasługi tego długoletniego kierownika i redaktora pisma, który „zapewnił mu trwałe podwaliny, nienarażające go na burze, które niszczą i obalają, gdy się nieoględnością własną ściągnie na swą głowę pioruny; potrafił wlać w innych wiarę w przyszłość, a przykładem zachęcić i pobudzić do patrzenia z wysoka na walki krańcowych przekonań.“ Podobnych artykułów, oceniających i podnoszących zalety i zasługi już to założycieli, już też późniejszych znakomitszych współpracowników „Tygodnika“, mamy kilka w jubileuszowym numerze. I tak Ludwik Jenike pisze o Anczycu; Antoni Mieszkowski o Kraszewskim. O „Posiedzeniach redakcyjnych Tygodnika ilustr.“ skreślił St. M. [Rzętkowski; „Krytykę teatralną w Tygod.“ Edward Lubowski; o „Malarstwie“ napisał Wojciech Gerson; o „Felietonistach“ Maryan Gawalewicz; Jeż podał: „Jedno z wielu wspomnień“, Jordan humoreskę: „Zemsta pana Fabiana“; Ap. Ol—ski, zecer „Tygodnika ilustr.“, kończy szereg artykułów wspomnieniem: „Z lat dziecinnych“. Z ilustracyi, zdobiących jubileuszowy numer „Tygodnika“, zaznaczamy przede wszystkim wizerunki 94 jego współpracowników, a między nimi pięciu kobiet: Narcyzy Żmichowskiej, Elizy Orzeszkowej, Maryi Konopnickiej, J. Łuszczewskiej (Deotymy) i W. Marenne (Morzkowskiej). Są nadto ryciny, przedstawiające: drukarnię Józefa Ungra, w której wyszedł pierwszy numer „Tygod. ilustr“., pierwszą redakcyą i pierwszą prasę drukarską, na której odbijano „Tygodnik“; jest podobizna pierwszego numeru „Tygodnika“ — są wreszcie dwa obrazki, z których jeden przedstawia: „Tygodnik na wsi“, drugi: „Tygodnik w mieście“. Opis jubileuszowego numeru „Tygodnika“, któremu w pełnem uznaniu jego zasług na polu ojczystego piśmiennictwa całem sercem życzymy obchodzenia wśród szczęśliwszych narodowych stosunków wiekowej rocznicy — kończymy perełką poezyi Deotymy, którą tu w całości Czytelnikom naszym podajemy:

Lecą lata — niby liście,
Z wiekowego spadłe drzewa;
Los je pędzi posuwiście
I na pyłki chwil rozwiewa.

Człowiek, chodząc w Bożym sadzie,
Zbiera listki .... czczy majątek!
Jedne rzuca, drugie kładzie
Do książeczki swych pamiątek.

Czasem siadłszy na spoczynek,
Z kart przeszłości je wypruszy.
Co tam ziołek i wspominek! ....
Ach! a w każdej cząstka duszy.

„Ten zeżółkły ..... liść, czy kwiecie?
On pamięta me zaranie.
On był w pierwszym tym bukiecie,
Com dał matce na wiązanie.

„Tamten dała mi kochanka,
Gdyśmy chcieli grać w zielone;
A ów .... ślubny .... spłynął z wianka,
Gdym rozchylał jej zasłonę.

„Tu.... co widzę?.. wiązka cała,
Nazbierana do zielnika.
Pyszna księga to być miała,
Dziś..... w dwóch kartkach się zamyka.

„A te inne?... wiarołomne!
Miały wiecznym być zadatkiem....
Dzisiaj nawet już nie pomnę,
Z jakim do mnie przyszły kwiatkiem.

„Tyle rosło — zwiędło tyle!
Jeden tylko liść odrośnie,
Ten uszczknąłem na mogile,
Ten o rajskiej szemrze wiośnie!

**W Bostonie** zaczęło wychodzić pismo w francuzkim języku p. t. „Elle,“ które jest wyłącznie redagowane, wydawane i drukowane przez kobiety. Pismo to nie przyjmuje również żadnych artykułów, tyczących się mężczyzn, pisze jedynie o kobiecie i o sprawach, jej dotyczących. W pierwszym numerze pisma tego zamieszczony jest artykuł pióra Miss Holbourne, który się kończy następującemi słowy: „Siła brutalna, przemoc i sobkostwo nigdy w naszem piśmie nie znajdą miejsca.“

**Urzędownie** już postanowiono beatyfikacyą Krzysztofa Kolumba — zażądało jej 850 biskupów. Francuz pewien, człowiek świecki, hr. Roselli de Lorgues, 85-letni starzec, poświęcił sprawie zaliczenia Kolumba w poczet Świętych pracę całego życia, gromadząc i wyjaśniając dowody zasług i świątobliwego, bez skazy żywota tego wielkiego męża.

# Ibrang - Hoihsthohl.

(Z kartek szukającego ideałów.)

(Skreślił **W. M.**)

(Ciąg dalszy.)

Apis mówił dalej, błądząc oszklonemi złotym binoklem oczyma po suficie:

„Co teraz począć? Trzeba będzie list napisać“...

„Trzeba będzie list napisać“... powtórzył bezmyślnie wujaszek.

„Ale jak tu napisać? Jak żyję nie pisałem jeszcze podobnych listów.“

Wujaszek bąknął automatycznie:

„Jak tu pisać?„

„A jednak napisać trzeba!“

„A tak — trzeba napisać.“

„Koniecznie!“

„Koniecznie.“

Apis niespokojnie krążył chwilę jeszcze wokół pokoju, poczem rzucił się na kanapę, a schwyciwszy za leżące na stole pióro, umaczał je co spieszniej w kałamarzu i groźnie niem potrząsnął. Była to zapowiedź stanowczej, zwycięzkiej kampanii.

„Edwardzie — dyktuj!“

„Nie kochałem nigdy jeszcze.“

„To wszystko jedno — ale pisywałeś często listy m i ł o s n e... wiem przecież o tem... pamiętasz wówczas w Berlinie, a potem i w Monachium do owej.....“

„Pamiętam, pamiętam. Dawne to dzieje — miałem wówczas lat ośmnaście. Jeden formularz służył mi systematycznie i wystarczał kompletnie.“

„Czy masz go jeszcze?“

„Mam bodajnie gdzieś w papierach — jeżeli mi go zwrócono — bo się wysługiwał i wielu innym...“

„Mój kochany, wyświadcz mi tę prawdziwą przysługę i poszukaj go co prędzej.“

„Ha — cóż robić — jeżeli chcesz koniecznie...“

I wujaszek podniósł się wreszcie z łoża boleści.

Po półgodzinnem przewracaniu wszelkich szuflad i pudełek, upragniony szemat wzorowego m i ł o s n e g o listu znalazł się jakoś wyjątkowym sposobem mimo to, że był rzeczywiście arcypotrzebnym.

Edward rzucił elaborat ten ośmnastoletniej dawniejszej swej wyobraźni na stół przed uradowanego Apisa.

„Masz — pisz. Zmień naturalnie imiona — nie uwielbiaj ciemnych oczu, ani kruczych warkoczy, a w ich miejsce wstaw niebieskie lazury i złote kędziory. Wyrzuć też oto ten ustęp o niespaniu i niejedzeniu — bo to już nie w duchu czasu. Dziś kobiety kochają zdrowych, normalnych, przeciętnych, jedzących i śpiących. Zresztą wszystko może zostać dosłownie.“

Apis przeczytawszy, pokręcił się niespokojnie.

„Ja wolałbym przeciwnie zostawić cały ten ustęp o niespaniu i niejedzeniu — to mi się bardzo podoba. Mnie się zdaje, że to właśnie największe sprawi na nią wrażenie.“

„Pokpisz sprawę.“

„Ależ wierz mi — to bardzo poetyczne.“

„Ha — jak uważasz. Pisz, że mrzesz z bezsenności i czczości żołądka.“

Apis schwycił się patetycznie za serce i zawołał:

„Tutaj za to aż nadto wielką czuję pełnię!“

Wzorowy formularz, wzorową kaligrafią skreślony, wkrótce znalazł się we wzorowej różowej kopercie — poczem też i wkrótce przyjaciel znalazł się na ulicy, a wujaszek w samotności.

Teraz dopiero przyszła mu do głowy refleksya równie prosta, jak trafna. Ten poczciwy Apis wzrusza serce Asyryanki opisem bezsenności i głodu — a przecież poznał ją zaledwie przed dwunastu godzinami — bawił z nią w sali balowej do rana. Prawdopodobnie razem po północy w najlepsze raczyli się kolacyą — gdzież tu był czas do niespania i niejedzenia? Chyba co najwyżej dziś rano o ósmej wzgardził kawą, lub herbatą. To mało, bardzo mało — to zakrawać będzie na ironią.

Co robić? Jak ratować sytuacyę? Zapewne już zapóźno — list z pewnością już na dnie puszki pocztowej. Ha! niech się dzieje, czego chce przeznaczenie. A może też prawnuczka Sardanapala nie będzie zbytecznie liczyć się z wyrazami, lub pomyśli: „Il ne manque pas de toupet, celui-ci.“ I tacy się podobają!...

X.

Do godziny pierwszej z południa Edward wysmarował całą swą moralną mechanikę już tak dalece oliwą pociech filozoficznych, że jakoś wszystko trzymało się od biedy, a zawiasy i spójnie mechaniki tej nie chrzęszczały wcale zbytecznie. A zresztą, postanowiwszy już raz na zawsze nie cierpieć na umyśle — nie być owym opłakanym manekinem, który koniecznie w drugim równym sobie manekinie upatruje szczyt szczęścia i zbawienia — wuj Edward nie lubował się w nurtowaniu po mętnych falach sercowej patologii, ale rzekł sobie, że praktyczniej poszukać antydotu przeciw groźnej recydywie obrzydłej choroby.

Ale gdzież go szukać? Jakiego rodzaju ma być środek ten rozpaczliwy? Czyż w znanej mu sferze istot kobiecych zdoła wujaszka zająć która jeszcze naprawdę? Rzecz to nader wątpliwa. Wszystkie owe szlachetne niewiasty, niebiańskie dziewice, idealne postacie itd. itd. zna wujaszek już na palcach. Dość tego dobrego. Gdzie znaleźć inne?

(Ciąg dalszy nastąpi.)

# Praktyczne rady i wskazówki.

**Środek przeciw ukąszeniu.** Ukąszenie przez żmiję, węża i inne płazy, lub owady jest niebezpieczne z powodu, że jad wprowadzony do krwi ludzkiej zawiera w sobie truciznę.

Należy w takim wypadku używać alkali, jako środka przeciwdziałającego czyli neutralizującego.

Spirytus salmiakowy jest na to najlepszym środkiem i stąd powinien się znajdować w każdej domowej apteczce. Płatek, umaczany w tym płynie, należy natychmiast przyłożyć na ranę i zmieniać często.

Jeżeli nie ma w domu spirytusu salmiakowego, można w jego miejsce użyć natronu. Rozpuścić go należy w wodzie i używać podobnie za pomocą płatka, jak spirytusu salmiakowego. Gdy jednego, ani drugiego środka pod ręką nie ma, w takim razie należy garść popiołu z drzewa wsypać we filiżankę, nalać wrzącą wodą, poczem przez kilka minut mieszając, powstałym stąd ługiem ranę okładać.

Pewien misyonarz, który przebywał czas dłuższy między murzynami, opowiadał, co następuje:

„Pewien stary murzyn za każdym razem, gdy został ukąszony przez płazy, lub owady, natychmiast biegł do lasu, wyszukiwał tam trzy rozmaitego gatunku zioła, a zgniotłszy je na miazgę, okładał niemi starannie ranę. Zazwyczaj w kilka minut potem czuł się lepiej i puchlina ustępować zaczynała.

Dla czego używał on trzech gatunków ziół? Zapewne dla tego, iż sądził, że w liczbie „trzy" leżała magiczna siła! Bynajmniej! — oto cała tajemnica polega na tem, że nie ma prawie trzech roślin, wśród którychby przynajmniej jedna nie posiadała w sobie mniejszej, lub większej części alkali."

*Mazur.*

# Promyki.

(Zebrała Helena Wituska.)

Natośmy wielkość poznali,
Aby wiedzieć, jak my mali.

Brodziński.

Świat, co widzi u ludzi tylko zwierzchnią stronę,
Pobłażliwiej spogląda na błędy złocone,
I nieraz jednę zdrożność w jednym prawie czasie
Inaczej sądzi w płótnie, inaczej w atłasie.

Bogusławski.

Nie ten ci żeglarz, co płynie po wodzie,
Nieporuszonej nic wiatrem w pogodzie,
Ale kto wały, gdy biją najcięższej,
Wiosłem zwycięży.

Miaskowski.

Serce do podbicia najwięcej niesnadne
Nigdy nie umie kochać przez rozkazy żadne,
Ale swojej najwyższej władcą będąc doli,
I sam mu nawet rozum nie odejmie woli.

Trembecki.

Pamiątki, pamiątki! zdradliwe to cacka,
Ej! biedny, kto niemi się bawi,
Niejedna nam serce zadraśnie znienacka
I raną głęboką zakrwawi;
Wesoła — żal budząc w nieszczęścia godzinie,
Żal budząc po dawnej rozkoszy;
Bolesna — gdy chwila wesoła nadpłynie,
To rychło ją z serca wypłoszy! . . . . .

## HUMORYSTYCZNE.

**Drobnostka.** — Panie profesorze, panu zawdzięczam wszystko, co umiem!

— Och! proszę, czyż warto wspominać o takiej drobnostce.

**Niepewny.** — Wojtek! — woła parobek, który spadł ze wschodów.

— A co tam?

— Chodź no prędko obacyć, cy ja jesce zyję.

**Diogenes** stanął raz przed kilku posągami, prosząc je o pieniądze. Gdy go pytano, co to ma znaczyć? — odrzekł: — Chcę się przyzwyczaić do nieczułości, skoro ludzie mi czego odmówią.

**Poczciwiec.** — Alež ja nie mogę odkryć w panu żadnej choroby, rzekł doktor, opukując szewca.

— Bo ja też nie jestem wcale chory, panie konsyliarzu; ale myślę sobie: skoro pan konsyliarz dajesz mi zarabiać od pięciu lat, trzeba, żebym ja też panu choć raz dał zarobić.

# Zagadka.

(ułożyła Zofia A.)

Pod mem wszechwładnem berłem uchylają czoła
Pokornie mych poddanych tysiące wassali,
Bo państwo me obszerne — cały świat dokoła! —
Hołd u stóp mych składają i wielcy i mali.
Ja zaś z uśmiechem — zdobiąc rydwanu krawędzie —
Rzucam szalone prawa w szybkim swoim pędzie!
Przecinam jednym rzutem drogocenne szaty,
Maluję koła, pasy, lub dziwaczne kraty,
W pióra, w ptaki kobiece ozdabiam ja czoła,
W płazy je stroję, w chrząszcze — nie w skrzydła anioła!
Każdy mój kaprys wszędzie ma naśladowanie,
Zmrużenie óczz mych śledzą panowie i panie.
Stolice swe wybieram nad Sekwany brzegiem,
Lub gdzie się modry Dunaj wartkim toczy biegiem,
Lubię także nad Wisłą śliczną okolice,
Gdzie mnie czczą, jak boginią, Polki-krasawice.
Tymczasem posłyszałam, iż kanclerskie rządy
I mnie pragną ujarzmić — nadać prawa, sądy —
I w nadszprejskiej stolicy przeznaczyć mieszkanie,
Ażebym upiększała tam germańskie panie;
Otoż na tę myśl samę straszny gniew mną miota,
I wypłatać im figla bierze mnie ochota!
Że zaś jestem z natury swej kosmopolitą,
Więc zmienię swe królestwo na rzeczpospolitą,
I kolejno zamieszkam to w Syrenim grodzie,
To w stolicy wszechświata — zawsze na swobodzie.

## LISTKI.

***P. Julii D.*** w Grąziowej: Za wszelkie dowody życzliwej pamięci o piśmie naszem serdecznie Szan. Pani dziękujemy. Tołstoja dotąd nie odebraliśmy.

***P. Annie Sikorskiej*** w Wielkich Chełmach: Żądany numer »Domu pol.« wysłaliśmy; pismo nasze gorąco polecamy i o rozszerzanie go w Prusiech bardzo Łaskawą Panią prosimy.

***P. Kaz. M. w G.*** Wiersz tak ze względu na treść, jako i formę, w której wszystkie warunki wierszowania niedomagają, nie będzie drukowany.



Redaktorka Teofila Radońska w Poznaniu. — Czcionkami i nakładem drukarni Dziennika poznańskiego.